Rozmaitości

DNIA 24. GRUDNIA **Ner 52.** 1835 ROKU.

KOCHANKA TAJEMNICZA.

Ułamek z dziennika podróży.

(Dokończenie.)

W pierwszych ułamkach poezyj i listów Gustawa, odnoszących się do okresu lat wcześniéjszych, kiedy namiętność najmocniéj w nim wygórowała, widać było niezmierzone, zawrót sprawujące odchłanie duszy poetycznéj. Wszędzie przebijał się umysł potężny w ustawném starciu się z sobą, niekiedy czczością przytłumiony, szarpany rozpaczą, niekiedy znowu olbrzymią płonący nadzieją; to znowu zwątlony, pokorny, wzruszający się głęboko, a zawsze tęskniący i drażliwy, jak owe trzciny, na których lada powiéw przegrywa. Miałeś tam źwierciadło całego żywota, który się miotał po całym świecie, obraz duszy, która żyje nadzwyczajną miłością, nadzwyczajném poświęceniem, nadzwyczajną, nigdy niezaspokojoną żądzą... cudami. — W poźniéjszych znowu pamiętnikach rozlaną była ponura jakaś bojaźń świata, zawodne nadzieje, zimna rzeczywistość. Ów ideał, o którym marzył... a którego nigdzie znaleźć nie mógł, nazwał niepodobieństwem. Śród zepsutéj cywilizacyi, śród ułomności, śród przesytu ziemskiego mógłże natrafić na istotą, za którą gonił, którą tylko:

Na falach wyobraźnéj pianki
Wydęło tchnienie zapału.

Ani z głębi padołu, ani z wysokich niebios nie zstępował ów anioł pociechy, któryby żądzę jego utulił, myśl wrzącą ochłodził; tylko on sam, on wieszcz, umiał w potędze swojéj stwarzać istoty, równie doskonałe duchem, jak i miłością.

Tu mię już badawczy mój rozsądek opuścił; z wszystkiego, com przeczytał, nie mógłem ująć jasnych rysów. Nic tam nie było, ani o kraju, ani o rodzinie, ani o wieku Laury. Zgadywałem tylko, że to być musi młoda dziewczyna zachwycającéj piękności, do jakiéj tylko poeta może mieć prawo. Mógłem to jeszcze poznać, że nad jéj ukształceniem pracował w samotności, że w niéj rozkrzewiał cnoty, jakie tylko fantazyja jego wynaleźć mogła, że nagle wpadł w jakąś okropną rozpacz —; owa czarująca istota, którą utworzył na wzór i podobieństwo dziewic raju, owe dziécię, które wypieścił śród sadów niewinności, w zamknięciu przed występnym światem, owa dziewica stała się za czystą, za świętą dla upadłego człowieka. Przeczuciem odgadła ona jego życie dawniéjsze, oddane swawolnym żądzom i namiętnościom, które nim miotały — wywołał anioła z siódmego nieba, a teraz piekło mu otwiéra. Nieszczęśliwy... potępiony... nie odważa się już spojrzyć na nią — wzdycha, jęczy. Ona go nie może — nie powinna kachać. Przepaść rozdziela kochanków.

Było tam jeszcze kilka duszę rozdziérających listów do Laury; czytałem je, i niejedną łzą oko zabiegło. W poezyjach częste spotykałem przeskoki, od najwyższego szału do najsłodszéj dziecinnéj tkliwości, od tęskliwych marzeń do najdzikszéj rozpaczy. »Prócz twéj miłości —« mówi w jednéj zwrotce:

»Prócz twéj miłości, kłamstwem mienię wszystko,
Bo miłość twoja żyje w wyższéj sferze;
Jeźli mię kochasz — Bóg nie czcze nazwisko;
Jeźli mną gardzisz — w Boga nie uwierzę.
O Lauro! we łzach twoich niech rozpłynę,
Spłonę w spojrzenich — w odetchnieniu zginę.«

A znowu w jednym liście tak mówi: »Chciałeś, abym przez ciebie wzniósł się aż »do twojego nieba. Wzbijam się, niesiony »skrzydłami, które rzuciłaś mi na padół, lecz »nimem doleciał — Przebóg! co widzę... Ty,

»za całą odpowiedź, wskazujesz mi palcem »przeszłe moje życie: zdradzone przysięgi, »niewinność zhańbioną, puhar rozkoszy wy- »pity z mętami, duszę gnijącą w samolubnéj »skorupie, wzgardę dla cnót i poświęceń — »i piszesz na mojém czole: »Umarła nadzieja!«

Noc całą przepędziłem w największéj walce ze sobą. O zachwycająca, boska dziewico! Szalonym postępem rosła miłość moja dla niéj. Zapewne nie mogła ona podzielać uczuć Gustawa, nie mogła kochać człowieka zepsutego światem, który resztę ognia, jaki mu został, usiłował na próżno w pożar młodzieńczy rozniecić. Lecz my — ach od pierwszego razu zrozumią się nasze dusze! Otoż sen całego życia mojego, tak prędko spełnić się mający! Otoż kwiat niewinności i wdzięków moim stanie się udziałem!

Te i tym podobne marzenia snuły mi się po głowie, kiedym stał przed źwierciedłem w najwytworniéjszym porannym ubiorze — w tém Witold w sukniach podróżnych niespodziewanie wpadł do mego pokoju:

»Przebacz mi, przebacz kochany Henryku!« rzekł do mnie, »nieszczęśliwy, a bardzo spiesznie mię wzywający przypadek, który się zdarzył w dobrach moich w górach, zmusza mię, abym cię na dwa lub trzy dni samego zostawił.« Chętnie byłbym mu rzucił się na szyję.

»Bez tych korowodów Witołdzie — odjeżdżaj; ja się tu wybornie zabawię.«

»Lecz« dodał z wyrazem poważnéj prośby, »daj mi słowo Henryku, że podczas méj niebytności nie zajrzysz do wielkiéj sali, ani też domowników rozpytywać będziesz.«

Żądanie to wcale nie było mi na rękę. Ale cóż robić, znajdując się w jego domu musiałem przystać na to, czego żądał, i uśmiéchnąwszy się tylko, pomyślałem: Biédny Witołdzie! jakżeż ty śmieszny z twémi środkami przezorności i z twoją rozumną zazdrością!

O dziesiątéj rano, sam jeden w małym salonie jadłem śniadanie; poczém wziąwszy książkę, poszedłem chodzić po parku. Nie było żadnego podobieństwa, aby choć małą szczelinką zaglądnąć do sali, we wszystkich oknach firanki, pełno wazonów z kwiatami!

Ze dwadzieścia razy z pokoju wychodziłem do ogrodu i wracałem z ogrodu do pokoju. Wszędzie mi nie dostawało czegoś. Tu — zawołałem — tu pod jednym dachem z Laurą — tak blizko niéj — ja sam jeden — ona sama jedna! Ach, to serajowa męczarnia! zazdrośni kochankowie nie lepsi od Turków!

Kiedy tak wyrzekam i utyskuję, szczęśliwy pomysł mię uderza. Na dworze było gorąco nieznośne; nie zważam na to, biegnę na wieś. Pierwszą kobiétę, którą spotkałem u drzwi chaty, kądziel przędzącą, zapytałem o Laurę; na tę wzmiankę, drząca staruszka padła na kolana, podniosła ręce ku niebu, i wzywała błogosławieństwa dla téj istoty, która od trzch lat całą wieś obsypuje pieniędzmi i dobrodziéjstwy...

Nato odszedłem prawie od zmysłów. Ach, to anioł między śmiertelnymi!

Przy obiedzie stary Franciszek usługiwał mi z wielkiém uszanowaniem; byłto szczwany lis dworski; z nieboszczykiem Dowmundem odbywał wszystkie podróże: w twarzy nosił wyraz pół-dzikiego, pół-ugłaskanego źwiérza. Postrzegłem, jak siwém, bystrém okiem swojém wciąż mię z ukosa mierzył. Z przykrością to zniosłem, i czém prędzéj wróciłem do mego pokoju, gdzie ze dwie godzin przepędziłem na balkonie.

Pod wieczór, kiedy nastał chłód ożywiony wonią drzew rozkwitłych, otworzyły się drzwi wielkie od sali; lecz wewnątrz niczego więcéj dostrzedz nie mogłem, prócz dwóch lamp alabastrowych. O rozkoszy niespodziewana! Co słyszę? dźwięki gitary — spiéw — to głos Laury! Byłato czarująca nuta jakiéjś tęsknéj żałośnéj dumki ukraińskiéj. Wzruszenie moje rozpływało się w łzach. Potém nagle, jakby chciała myśl udręczającą odstraszyć, wpada w skoczne, żywe akordy narodowego mazurka. Drzwi zamknęły się znowu — lampy pogasły i wszystko znikło. Zachwycenie moje przechodziło w szaleństwo; nie mógłem się opamiętać, jakby w letargu. Noc następną przebyłem daleko niespokojniéj, niż przeszłą; za najmniéjszym szelestem, stuknieniem, wybiegałem na balkon; składałem wiersze, czuło-miłośne, elegiackie...

Nazajutrz wyglądałem blady, jak upior. Rano, kiedym przechodził przez marmurową galeryję, na którą wychodziły drzwi od wielkiéj sali, ujrzałem bardzo powabną panienkę, wybiegającą ztamtąd z gitarą w ręku, i w czarnéj zasłonie. Nieznajoma złośliwym pozdrowiwiła mię uśmiéchem. Że zaś drzwi

zostały otworem, poskoczyłem co żywo, aby zajrzeć do sali; lecz stary Franciszek, jakby z pod ziemi, zjawił się na progu, skłonił się głęboko, i z największą unižonością zamknął mi drzwi przed samym nosem.

Reszta dnia zdawała się długą, jak wieczność. Nie wątpiłem już, że ta młoda, tak pilnie strzeżona, obwarowana zamkami dziewica, była ofiarą obudwóch rozkochanych braci. Wiedziałem już z listów, jak wzgardziła miłością Gustawa, a teraz, domyślałem się, wystawioną jest na tyraństwo Witolda, i zapewne wzywa niebios o rycérza, któryby ją z tych więzów wybawił. Widziała mię gdym stał na balkonie i na tarasie przed oknyma; współczucie, jakie położeniem swojém wzbudzała we mnie, nie mogło ujść jéj uwagi. A tenże spiéw cóż znaczy? tęskna dumka ukraińska malowała jéj cierpienia, wesoły mazurek nadzieję oswobodzenia, i przyszłe szczęście. Po tych uwagach nie wypadalo mi, jak pisać do niéj. Lecę do mego pokoju, siadam, piszę — i zdziéram dziesięć listów. W końcu poskromiłem wymowną moją namiętność, a skleciwszy list przyzwioty, zeszedłem znowu do ogrodu, narwałem kwiatków, i bilecik w bukiecie ukryłem. Jedno okno od sali było na pół otwarte w górze — przez nie cisnąłem posłańca miłości i oswobodzenia, kryjącego się, jak jaki Sylf, w kwiatach — i znowu, jakbym nic nie zrobił, wracam do mego pokoju, gdzie upojony myślą, że mój list, moje zapały, dusza moja, chęć poświęcenia się dla niéj, doszły rąk Laury, usnąłem spokojnie. Przez pół czuwającemu słodkie sny się roiły. Przekonany byłem, iż Laura znajdzie pewny środek przesłania mi odpowiedzi.

Nazajutrz rano, moim zwyczajem, poszedłem do ogrodu na przechadzkę, i wracając zatrzymałem się przed drzwiami sali; w tém otwiérają się obie podwoje — a na progu pokazuje się czarno ubrany mężczyzna — Witold z listem w ręku. Poznałem... był-to mój własny. Krew buchnęła mi do czoła, wściekłością zadrgały wargi, nie byłem panem mojéj popędliwości. Uśmiech Witolda przybrał wyraz szatański.

»Mości panie!« rzekłem, »za wiele tych żartów; rola, jaką mnie tutaj wygrywać każesz, ze śmiesznéj wystawia mię strony. Od kogo masz wćpan ten list? Rozumiém — wydarłeś go nieszczęśliwéj ofiarze podstępem, lub przemocą. Rozumiém — wćpan nie wyjeżdzałeś z domu; skrycie śledziłeś moje postępki — szpiegowałeś, i jeszcze urągasz. Natychmiast rozprawim się, taka obraza krwią się obmywa!«

»Służę! natychmiast służę. Franciszku!« rzekł obracając się do starego sługi, który przez galeryją przechodził; »przyniesiesz tu moje pistolety.« Poczém kilka słów szepnął mu do ucha; mnie wskazał drogę, i szliśmy obadwa do małego lasku za ogrodem.

»Rozważ tylko,« rzekł Witold, idąc najspokojniéj koło mnie; »jeżeli cię zastrzelę, natenczas nie zobaczysz Laury; jeżeli ty mnie zastrzelisz, to i tak zmuszony ratować się ucieczką, nie będziesz mógł Laury widzieć.«

»Dosyć już, dosyć tych uwag, panie Dowmundzie!« — Oburzenie moje nie miało granic. Franciszek nadszedł. Porwałem za pistolet, Witold za drugi, i odbiegliśmy od siebie na 15 kroków — padło dwa strzały... obadwaśmy chybili. Spojrzałem ku oknom wielkiéj sali, i pomyślałem: czy wié ona przynajmniéj o tém, że życie moje za nią stawiłem?

»Teraz« rzekł Witold, »oddaję ci list, który pisałeś. Możesz się przekonać, że pieczęć nie jest naruszoną. Za nadtoś w gorącéj wodzie kąpany — do czego ten pojedynek. Właśnie szedłem do ciebie z tym listem, chcąc ci go oddać, a przytém oznajmić, iż śniadanie w sali Laury czeka na nas gotowe. Zmarnowaliśmy całe ćwierć godziny, spieszmy to nagrodzić.«

Pomieszanie moje, z powodu tych scen gwałtownych, było bardzo wielkie, nawet zwiększyło się jeszcze, gdy Witold po przyjacielsku wziął mię za rękę, jak gdyby nic między nami nie zaszło.

»Ostrzegam cię, nie chciéj się tylko dziwić,« mówił daléj, »jeżeli zobaczysz Laurę w czarnéj, grubéj zasłonie, milczącą i nieruchomą. Ta dramatyczna i niema żałoba stosuje się do ostatniéj woli nieboszczyka brata mego, wyrażonéj w testamencie. Właśnie dzisiaj, 15go maja, kończy się ona o południu, t. j: w trzy miesiące od czasu śmierci mego nieszczęśliwego brata. Teraz — rzekł patrząc na zégarek — mamy jedénastą.«

Sala, do któréj weszliśmy, była obszérna i spaniała, lecz przyciemną, bo światła nie wpadało tam więcéj, jak tyle, co się pomiędzy

pomarańczowe i cytrynowe liście przecisnąć mogło. Kobiéta, aż do stóp czarną, gęstą okryta zasłoną, w pół leżącéj postawie, spoczywała na sofie, w rogu sali najwięcéj oddalonym od naszego stołu, zastawionego śniadaniem. Meble i ozdoby były wytworne i zbytkowe; arfa, fortepian, narzędzia do malowania, bogato oprawne książki, krosienka i inne drobiazgi eleganckiego salonu, wszystko zapowiedało w niéj damę z wielkiego świata.

»Dosyć będzie, jeżeli się jéj ukłonisz,« rzekł Witold do mnie po cichu, za kilka chwil będziemy mogli przystąpić do niéj bliżéj.«

Rumieniąc się od wszydu, oddałem jéj ukłon, i usiadłem do stołu. Witold rozprawiał wiele o polityce, o literaturze i o innych przedmiotach, na teraz bardzo dla mnie obojętnych. Co do mnie, nie odzywałem się z niczém, coby Laura do siebie ściągać mogła. Po téj scenie, jaką odbyłem z Witoldem, wystawiłem sobie, co się dziać musiało w jéj duszy, gdy słyszała mój głos i moje rozmowy!

Na jednym zégarze wybiła dwunasta; myślałem, że mi krew porozsadza żyły, że zawrotu głowy dostanę. Wstajemy.

Witold wziął mię za rękę; spuściłem jak winowajca w dół oczy, pomieszanie moje przechodziło wszystko. Tu mi w myśli stanęły: bukiet z listem, balkon, taras, miłość, wstyd fałszywy, i zazdrość — i wszystkie zdarzenia dni kilka, które jak w dniu sądu przybrały postać strasznych olbrzymów. Usiłowałem zdobyć się na jaką uniewiniającą przemowę, bąknąłem niezrozumianych słów kilka, i już nie mogłem daléj.

»Teraz zobaczysz, coś tak pragnął,« rzekł Witold, podnosząc krepową zasłonę;... »oto jest Laura!«

Podniosłem oczy, i ujrzałem... najpiękniéjszy posąg z karraryjskiego marmuru, najpiękniéjszy jaki kiedykolwiek mógł wyjść z fantazyi poety, z serca artysty i z rąk człowieka.

To więc była nauczka przygotowana mi przez Witolda; nauczka nieco za ostra. Już zarumieniłem się od wstydu i gniewu, już chciałem znowu wybuchnąć; lecz Witold z tak przyjacielskim tą razą spojrzał na mnie uśmiéchem, iż zwyciężyłem się.

»Patrzaj kochany Henryku,« rzekł on, ściskając mię czule za rękę. »Patrzaj, do czegoto umysł poety przyjść może. Biédny Gustawie!«

»Jako? byćżeto może? Ta Laura, ta miłość ognista, ta śmierć z obłąkania — te wiérsze?...«

»Nic prawdziwszego. Wszystko, cokolwiek cię tu otacza, mówi dowodnie, jak daleko ludzka fantazyja obłąkać się może.«

»A zatém wystawiłeś mię na próbę, panie Dowmundzie?«

»Czy znowu szukasz zwady Henryku?«

»A taż gitara, a ten spiéw w sali?«

»Panna Julija, córka mojego rządzcy, nie zgorzéj spiéwa.«

»A pojedynek, a pistolety?«

»Stary Franciszek umié nabijać je samym prochem. Z resztą spodziéwam się, iż mi otwarcie przebaczysz, za te parę dni, które w samotności i w mękach miłosnych przepędziłeś. Pomnisz, jeszcze w Paryżu przyrzekłem ci małą nauczkę, jak niebezpiecznie jest puszczać się za popędem fantazyi, bez równowagi w rozumie. Teraz dobra zdarzyła się pora — przyjaźń nakazywała uiścić się w słowie.«

Nim jeszcze wsiadłem do pojazdu, który miał nas odwieść do Krakowa, raz jeszcze oglądałem ten utwor czarowny połączonych sił najsławniéjszych rzeźbiarzy włoskich, a kiedym był pewny, że mię nikt nie widzi, pocałowałem tę napiękniéjszą rękę... Zdawało mi się postrzegać lekkie poruszenie jéj białych ust, które niby wymówiły imię: Gustaw. U samych drzwi obróciłem się raz jeszcze i zawołałem: »Lauro, bądź zdrowa!«

Witold zgoła nic nie wiedział o mojém pożegnaniu, tylko zalecał mi najmocniéj, abym wszystko, co wiém o Laurze, zachował w największéj tajemnicy, ze względu, jak mówił, na pamięć nieszczęśliwego brata, którą szanować należy. Jednakowoż, nie wiém z jakiéj strony rozgłoszono w Krakowie pobyt mój w domu Dowmunda; i odtąd w salonie jenerałowéj S. dosyć krzywo na mnie patrzano; Eliza nawet odmieniła zupełnie sąd o wiérszach do Laury. L. S.

SCENA ZWIERCIADŁEM.

Arlekin, Piérot, z nimi Kolumbina,
Stoją na scenie; już się gra zaczyna.
Ciekawych wszędzie, na dole, na górze,
Chcą śmiéchem ulżyć ciekawéj naturze.
Śmieje się każdy; Ja pytam dla czego?
Na głupstwo patrzy: To zwierciadło jego.

Arlekin, Piérot, z nimi Kolumbina,
Scenę zadziérgnąć wyśmienita trójca:
Dwoje się kocha, a trzeci zaklina,
By przecież w pamięć wzięli wolę ojca.
Pantalon ojciec, jako duch uparty,
Scenę zakończyć przybywa już czwarty.

Scena z miłostką brały siły nowe,
Piérot chciał wstrzymać, ojciec rwał osnowę;
Darmo naturze pełno zawad stawił,
Uznał jéj prawa, i pobłogosławił.
Śmieje się każdy; Ja pytam dla czego?
Na głupstwo patrzy: To źwierciadło jego.

Każdy się śmieje, bo ma tę nadzieję,
Żeto jest **drugi**, z którego się śmieje;
Żadenby nie był w téj śmiechu potrzebie,
Gdyby pomyślił, że się śmieje z siebie.
Dla tego gracze robią mu tę łaskę,
Że w tém źwierciedle kładą twarze w maskę.

i. n. k.

JAKÓB PERMANON,

ŻEBRAK Z WODĄ ŚWIĘCONĄ.

Przy wielkich drzwiach kościoła Bogarodzicy w Paryżu przez wiele lat stał zawsze jakiś mały, garbaty, do karła podobny żebrak; wzrost jego najwięcéj jeżeli pół-trzeciéj stopy dochodził, a do tak małego tułubu, głowę miał ogromną, ręce nadzwyczajnie długie i niezwyczajne nogi z olbrzymiémi stopami. Stojąc na małym stołeczku, który go od z-ziębnienia nog ochraniał, a razem widoczniéjszym czynił, bo niejeden z przechodzących mógłby go nie dostrzedź; nasz Jakób Permanon odmawiał w głos swoje modlitwy z taką gładkością potoczystą i taką czystą łaciną, jaka między ludźmi jego przemysłu nie często zdarzać się zwykła. Gdy odmawiał swoje *Credo* łatwo można było wnosić, iż to, co mówił, rozumiał; równie zaś z pewnym rodzajem wdzięku podawał przechodzącym kobiétom swoje kropidło z rączką hebanową w srébro oprawną. Przytém włos jego starannie był przygładzony, a ubranie chędogie.

Pomiędzy osobami, które końce palców swoich maczały w jego święconéj wodzie, za co go potém obdarzały jałmużną, znajdowały się także młode panienki z zakładu wychowania. Jedna z nich różniła się od wszystkich; byłato młoda Angielka, blondynka, blada, któréj piękne włosy w obfitych kędziorach roztaczały się po twarzy, chociaż ta piękna dziewczynka zadwała sobie wszelką pracę, aby je pod kapeluszem ukrywać.

Byłato uboga siérota; jakaś nieznajoma ręka od lat 15stu dostarczała na jéj potrzeby, na jéj ukształcenie moralne, i nadto opłacała nauczyciela do fortpianu, na którymto instrumencie siérota nasza nadzwyczajnie się wydoskonaliła. Muzyka całkiem opanowała tę młodocianą, tkliwą duszę, która się czuła opuszczoną i samotną w gronie uczennic publicznego wychowania; przy dźwięku fortepianu zapominała miss Jenny, że jest siérotą, że nigdy nie słyszała słodkiego imienia matki, ani pocieszającego głosu: córko moja!

Z nie wielkiéj pensyi, którą jéj wyznaczono na drobne wydatki, Jakób Permanon większą część dostawał, albowiem dla niego miłosierdzie jéj najszczodrzéj się okazywało. Ona, która nikogo nie miała, coby do niéj się przyznawał, nikogo, coby ją z prawa natury kochał, mimowolnie skłaniała się ku téj upośledzonéj istocie, która podobnie jak ona opuszczoną była od świata. Oprócz dziesięciu *sous*, które od niéj co niedzieli pobiérał, opatrywała go jeszcze bielizną, chustkami i innémi potrzebami, które uczennice zakładu w godzinach samotności i wolnych od zatrudnień, same sporządzać umiały.

Opisać jak mocno Permanon kochał młodą Angielkę, jest niepodobieństwem; czuł on dla niéj więcéj, niż wdzięczność, niż przywiązanie; Permanon czcił ją, jak bóstwo. Skoro się zbliżała godzina, w któréj zwykła przychodzić, Jakób blednął, i wewnętrznem wzruszeniem trząsł się na swoim stołeczku; wtedy zapomniał podawać kropidło, i tylko głowę obracał ku ulicy, aby dostrzedz zbliżającą się dziéwczynę. Jeżeli zaś posłyszał odgłos jéj kroków i dźwięk jéj głosu, twarz jego lekkim pokrywała się rumieńcem, i dreszcz po wszystkich przechodziła go członkach, a kiedy już miss Jenny przystąpiła do niego i słodkim pozdrowiła wyrazem, życząc mu dnia dobrego, natenczas serce biło gwałtownie, uklękał przed nią, i sam nie wiedział, czyli to nie anioł zstępuje z nieba, który jego modły wysłuchał.

Pewnego dnia przyszła miss Jenny z zapłakanémi oczyma, i wyrazem jakiegoś głębokiego smutku: »Jakóbie,« rzekła, »odtąd nie dostaniesz ode mnie jałmużny, bo teraz uboższą, niźli ty jestem. Już od roku prawie przełożona naszego zakładu, żadnéj nié ma od moich nieznajomych opiekunów wiadomości. Dotąd ukrywała ona przede mną tę boleśną prawdę, lecz wczoraj przypadek odkrył wszystko. Ubogą jestem dziewczyną, utrzymywaną miłosierdziem chrześcijańskiem, przymuszoną nawet wyrzec się najmilszéj dla mnie rzeczy na świecie, to jest: oddawania się nauce muzyki.

Nazajutrz odźwierna zakładu otrzymała przez pewną nieznajomą osobę 3,000 frank. Na worku z pieniądzmi był napis: »Dla miss Jenny R.«

I tak przeszły cztéry lata, w ciągu których miss Jenny znowu spokojnie i bez troski żyjąc, nie zaniedbywała każdéj niedzieli obdarzać Jakóba dziesiątkiem *sous*, wraz z innémi podarkami do których go przyzwyczaiła dawniéj. W końcu

tego czasu Permanon zachorował, i nie pokazywał się więcéj u drzwi kościoła. Miss Jenny, stroskana o jego zdrowie, spieszy go nawiédzić. Po wielu trudnościach i wypytywaniach odkrywszy jego mieszkanie, dostała się nakoniec do jego samotnéj i nędznéj izdebki pod strychem, gdzie znalazła chorego, leżącego na lichym sienniku.

Permanon ledwo nie umarł z radości, gdy ją ujrzał. »Dziécię moje,« rzekł on, »czy cię tu Chrystus i Najś. Panna zesłali, abyś osłodziła mi godzinę skonania. Gdybym cię więcéj był nie widział, byłbym umarł w rozpaczy, a teraz błogosławię i twemu, i nieograniczonemu miłosierdziu Opatrzności...« To rzekłszy wyjął z pod poduszki zapieczętowany papiér, oddał go dziewczynie, żądając od niéj przyrzeczenia, iż dopiéro po jego śmierci pieczątkę otworzy. »Jestto moja ostatnia wola,« dodał, »bo któż oprócz ciebie, zechciałby dopełnić woli biédnego żebraka?«

Jenny przyrzekła dopełnić wszystkiego, czego żądał; a kiedy powróciła nazajutrz w myśli, aby go odwiédzić, znalazła go już walczącego ze śmiercią. W kilka chwil Jakób, trzymając silnie za rękę miss Jenny, wyzionął ducha.

Dziewczyna, zalana łzami, otworzyła list tajemniczy. Zawiérał on następujące wyrazy: »Udaj się niezwłocznie do notaryjusza pana M., na ulicy Montmartre, a ten udzieli ci bardzo ważnych papiérów.« Papiér, który jéj notaryjusz wręczył, zawiérał zapis na 100,000 franków, które Permanon na dwa tygodnie przed swoją śmiercią, kiedy się czuł już słabym, u tego urzędnika był złożył. *(Pr. Acernl.)*.

WYIMKI Z PODRÓŻY PO GALICYI w r. 1831.

(Dokończenie.)

W pobliżu Starego-Sądcza leżą gruzy zamku Rytra; postanowiłem skorzystać z okoliczności i udałem się tamże wzdłuż rzéki Popradu. Droga śród najpiękniejszych okolic doprowadza nas aż pod gruzy. Leżą one na górze skalistéj, po pod którą szumiący Poprad płynie. Wieża okrągła, dość wysoka, stérczy śród gruzów; na spodzie były niegdyś srogie więzienia. W około widać ślady mocnych zabudowań, w murach, drzewiną dziką porosłych, jeszcze gdzie niegdzie widać znaki kutych drzwi i okien. Jak się zdaje, służył zamek ten więcéj do obrony, aniżeli do przepychu. Piwnice, nie dawno dopiéro zawalono, w nich mają leżeć ogromne skarby. Jedynym mieszkańcem pustego tego zwaliska, podług podania, jest Marcinek, duch zaklęty, który się często ludziom tamtéjszym, nocną porą na białym koniu jeżdżąc pokazuje. Marcinek miał być rządzcą tego zamku. Gdy mu już wina zabrakło, pojechał do Węgier, gdzie sobie u kupca jednego kilka beczek kupił, z których w piwnicy najcięższe wybrał. Na zamku otwiérając jednę, obaczył z zachwyceniem, iż napełniona była złotémi i srébrnémi pieniędzmi. Wkrótce spostrzegł się jednak Węgier swéj straty i upominał Marcinka o zwrócenie beczki z pieniądzmi, obiecując mu zato sowitą nagrodę. Marcinek, miasto zwrócenia, wyparł się zupełnie i zagrzebał cały skarb w głębokiéj jednéj piwnicy. Zaskarża go Węgier przed sądem w Starym-Sądczu; obadwaj przysięgają, piérwszy sprawiedliwie, drugi zaś z łakomstwa niesprawiedliwie: »Bodaj mię ziemia w łono swe nie przyjęła, bodajem nie miał po śmierci spoczynku od Boga, jeźli mówię nieprawdę!« Tak przysięgał Marcinek. Wkrótce atoli dotknęła krzywoprzysięzcę sprawiedliwa ręka Boża; złożony cięzką chorobą wnet umarł, i zmuszony jest odtąd błąkać się nocą, dopóki wybawiciela jakiego nie znajdzie; w dzień zaś przesiaduje na skarbach przez niego w sklepieniach zamku ukrytych. Opowiadał mi wieśniak, jak nie dawno pastuszkowi jednemu tu pasącemu wpadł kapelusz w otwór piwnicy. Płakał długo biédny, aż wreszcie duch miejscowy, niedolą wzruszony, wyrzucił mu nazad kapelusz jego, pieniądzmi napełniony. Drugi pastérz, zawistny widzący to, także chciał podobnym sposobem nabyć pieniędzy i umyślnie rzucił czapkę swą do piwnicy. Jednak zamiast pieniędzy wyrzucił mu ją duch żwirem napełnioną. — Zamek Rytro, zmurowany przez Kazimiérza W., był własnością królewską, i należał pewnie do rzędu grodów, zasłaniających granicę od Węgier. Poźniéj dostał się w zastawie komuś innemu, dopóki go Jan Bonner, który tu przyszedł z Szwajcaryi, za 10,000 złot. nie wykupił i królowi Zygmuntowi I., wraz z innémi wykupionémi miastami i grodami nie oddał; za co od króla indygenat polski, oraz starostwo rabsztyńskie i oświecimskie otrzymał.

Wieś Jazowsko, o milę od Starego-Sądcza odległa, z tego względu zasługuje na uwagę, iż w okolicach tamtejszych najgroźniejsi rozbójnicy karpaccy, jakimi byli Baczyński i inni, przebywali; jakoż po dziś dzień jeszcze w lasach przyległych ukazuje lud kryjówki w skałach wydrążone, i na wysokiém wzgórzu z kamienia wykute krzesło, z którego dowódzca do licznie zgromadzonéj hordy przemawiał. W dworze tutejszym, który i teraz jeszcze zdobią naddziadów przymioty, widziałem pomiędzy innémi osobliwościami miecz starodawny, mający na swém ostrzu wyryte dwa krzyże komturskie (zakonu Krzyżaków), rok 1414 i liszkę dość niezgrabną, która może służyła za herb rycérzowi jakiemu krzyżackiemu. Drugą osobliwością jest tu starożytny puhar familijny srébrny, złocony i wyrobiony w kształcie sroki, jako znamię herbu rodzinnego: Ślepowron. Mieści on w sobie przeszło kwartę wina i przypomina czasy owe, w których z potężnych kielichów zgromadzona szlachta spijała kolejno za zdrowie gospodarza.

W przyjemnéj równinie między górami, nad rzéką Dunajcem, leży wieś Łącko ostatnia osada Mazurów podkarpackich. W wiosce téj miałem sposobność być przytomnym obrzędom weselnym, których opis tu kładę:

Gdy już licznie zebrane grono miało jechać do kościoła, aby towarzyszyć ślubom małżeńskim nowożeńców, zapowiedział starosta, najdostojniejszy między drużbami godowémi, akt błogosławieństwa. Rodzice panny młodéj, którzy sprawiali wesele stanęli w środku komory; zbliżała się do nich na sam przód panna młoda, i po trzy kroć do nóg im upadła, potém toż samo czynił pan młody. Lice tylko matki i oblubienicy pokryły łzy rzęsiste: oko zaś ojca i pana młodego—ponieważ łzy nie przystoją mężczyznie— zasępił smutek w radość się przelewający. Drużbowie z jednéj strony, drużki zaś z drugiéj zanuciły smutny spiéw następujący:

»Błogosław matuleńko
To twoje dziecciąteńko;
Pobłogosław oboje
Te dziecciąteczka swoje.«

Po błogosławieństwie stanęli drużbowie z panem młodym przy drzwiach komory, i wypuszczali po jednéj kobiécie, pytając się, czylibyto ta była panna młoda. Lecz pan młody tak długo nie potwierdzał, dopóki nie przyszła koléj na samą narzeczonę, która była ostatnią. Potém

siadł orszak cały na konie wozy i w następnym porządku jechał do kościoła: Na sam przód drużbowie na koniach kłusując, przebrani byli w niebieskie sukmany, na których w poprzek mieli poprzewięzywane chustki długie z falbanami do koła, *rańtuchami* zwane, mieli czapki wysokie, wyłożone czarnémi barankami, do których były poprzypinane kitki z pawich piór, ruty, szałwii i szychowych kwiatków, w rękach zaś białe chustki i siekiérki, oprawione na lasce. Drużbów poprzedzał jeden trzymający *rószczkę weselną;* jestto laska nie długa, z któréj idą na wszystkie strony okrągło zakrzywione konary, obwite pospolicie piękną słomą, rutą, szałwiją, nadziane włoskiemi i laskowémi pozłoconémi orzechami; na końcu każdego konara są piękne czerwone, wyzłacane jabłka pozatykane, także znowu małémi orzechami ozdobione. Za drużbami postępowały wozy, na których siedziały drużki, także swachami, szwaszkami zwane, ustrojone w kwiaty, śród nich najstarsza **starościna**. Za nimi jechali, pani młoda w białych szatach z rucianym wiankiem na głowie; daléj zaś muzyka przygrywająca, którą kilka skrzypków i basista składali; pan młody i resztę zaproszonych. Śpiewanie i liczne wystrzały odzywały się podczas téj jazdy. W pół drogi, gdy już drużbowie, drużki i pani młoda przejechali, chłopacy czekający zawarli drogę słomianym powrósłem; pytali potém pana młodego zkąd jest i coby był za jeden i nakoniec żądali zaświadczenia na papiérze od niego. Wyjął tedy starosta zwitek, a udając czytającego plótł dla wzbudzenia śmiéchu różne niedorzeczności. Pan młody zaczął się pchać silnie, i przerwał wreście powrósło. Po skończonym ślubie śpiewało towarzystwo, do domu jadące, pieśń następną:

Oj leciały czarne kawki przez morze,
Padły, siadły u pana ojca na dworze:
»Czyście nie widziały moi Marysi jadący?«
— »Widzieliś-wa twoją Marysię jadący,
Ocierała swoje oczęta płacący.«

W karczmie, dokąd się cały orszak po ślubie zjechał, następowała uczta; potém zaś odbył się *targ o pannę młodą*. Przedawano niby nowożeńcowi wszystkie drużki i pannę młodą, za którą musiał drużbom uiścić wyznaczoną cenę. Starała się teraz umknąć panna młoda, zbliżał się albowiem obrząd *czepin*. Ułapioną posadzili drużbowie na dzieży; starościna zdjęła jéj wianek ruciany i wstążki (które się dostały muzykantom) z głowy i uderzyła ją ręką w usta, potłuczonym zaś garnkiem w plecy, aby się jéj naczynie nie tłukło w nowym stanie. Zaspiéwała teraz smutno siedząca:

»Wianecku ruciany juześ się mi zmienił,
Już się mi nie będzies na głowie zielenił.«

Nazajutrz po południu znowu się zebrało całe towarzystwo przed pomieszkanie pani młodéj, zanócono tę pieśń:

»Oj wyjdźze! wyjdźze Marysiu nadobna,
Pzywitajze pannę swackę z druzyną,
I swego pana młodego z rodziną.
Pzywitajze pannę swackę, pzywitaj!
A swojemu Jasienkowi rąckę daj!«

Na to śpiewając następnie odpowiedziała pani młoda:

»Nie będę pannę swackę witała,
Bom ja u niéj pzyjaciółkę zyskała;
Lecz pzywitam mego Jasia, rąckę dam,
Bo on teraz moim zyciem jeden sam.«

Naładowano na wozy posag pani młodéj, t. j: pościel całą i skrzynię z sukniami, na któréj usiadł brat, wywijając drewnianą szabelką. Odprowadzono nowożeńców do pomieszkania pana młodego na nowe gospodarstwo, i na tem zakończyło się wesele.

Idąc z Łącka do **Krościenka** przechodzimy okolicę dziką wprawdzie, ale oraz najprzyjemniéjszą. Dwie gory, to lasem porosłe, to znowu kamieniami zasiane, zwężają koryto rzeki Dunajca, która płynie z głośnym szumem, rozbijając swe fale, na wystających w wodzie skałach. Po górach liczne widać *koszary* ogrodzone, w które na noc pastérze owce zaganiają. Koło koszary stoi zwykle zawsze *koliba* (przypominająca greckie *kalibes*) mały domeczek, w którym *baca z juhasami* nocuje. Baca jestto najstarszy owcarz, mający pod sobą kilku juhasów*) czyli podpastérzy, którzy z białymi kondlami, strzegą owiec na paszy. Na bacę wybierają pastérza najzdatniejszego, posiadającego prócz dokładnéj wiadomości robienia séra i strzyżenia owiec, znajomość leczenia chorób ludzkich i bydlęcych. Jeżeli zażegnać dobrze umié, to bywa wielce ceniony. Najpiękniéjszym jestto widokiem gdy z nadchodzącą jesienią trzody owiec z letnich pasz do domu wracają. Postępują owce, a koło nich kondle białe z dużymi ogonami, za niemi zaś dziewczęta spiéwając i pastérze grając to na skrzypcach, to na fujarach, to na długich *ligawkach*. Baca, jadący na koniu, zamyka orszak cały, koło niego niosą konie różne naczynia owczarskie. We wsi oczekuje wszystkich z ucztą lud zgromadzony. — Górale, których osady od Łącka aż głęboko w Karpaty się ciągną, są ludem dziarskim; kobiéty możnaby miéć za najpiękniéjsze z okolic całéj Polski. Chłopakowi, jak jodła smukłemu, spływają długie czarne kędziory, których on z wielką starannością pilnuje. Mały okrągły kapelusik, przy nim rzemyk z nabitémi mosiężnémi ćwioczkami i szklannémi paciorkami nosi na głowie. Spodnie opięte, białe sukienne, pookręcane są na dole kształtnie rzemykami długiemi; na nogach ma obuwie zwane *kierpce*. Koszula z cienkiego płótna spięta jest na piersiach mosiężną sprzączką. Na ramieniach wisi mu zarzucona *bunda*, czyli rodzaj kaftana z grubego sukna, kafowéj barwy. Ubiorem kobiét jest koszula biała, czerwoną bawełną na rąbkach kształtnie powyszywana; na szyi wiszą szkiełka lśniące i różne kamyki, zapaski zaś mają z niebieskiego płótna. Przy tańcach swych, które w ogóle serbskiemu *kolo* są podobne, wiele zręczności okazują Górale: wśród wysokich skoków rzucają w górę laski swe z nasadzonémi siekiérkami, *wałaszkami* zwane, i zwinnie je w powietrzu łowią. Muzykę cechuje właściwa oryginalność, nie mająca w sobie téj żwawości krakowskiéj, ani też smętności dum ruskich; pieśni gminne zaś najczęściéj w rodzaju ballad, opiewające okropne jakie zdarzenie, są tworem wyobraźni ich dzikiéj, jak góry rodzinne, a wolnéj, jak mgły je odziewające. Jedynym majątkiem Górala, którego osobliwie święta gościnność zaleca, jest trzoda owiec i kawałek pola śród gór wielkich, na niémto sieje owies, z którego chléb w kształcie placków okrągłych piecze.

Miasteczko **Krościenko**, przez Górali zamieszkane, leży w uroczéj dolinie po obydwu stronach Dunajca. Przed wjazdem do miasteczka jest miejsce jedno, nibyto staw błotnisty, z kraju stérczy kilka kamieni; miała stać karczma niegdyś na tém miejscu; raz przechodził ksiądz z Ś. Sakramentem do chorego, lecz nie chcieli poprzestać w téj chwili hulanki zebrani przy muzyce wieśniacy. Za karę zapadła się karczma, a na jéj miejsce wystąpiła woda, ludzie zaś zuchwali, przemienieni zostali, okrom jednego, co z karczmy wyszedł i ukléknął, w jaszczurki wodne (które się tam po dziś dzień jeszcze ukazywać mają). Z drugiéj strony miasta leży przy Dunajcu kamień wielki, koło którego źródło piękne bije; na tym kamieniu przypłynęła tu wodą z Węgier, podług wieści, Kunegunda Ś. i spisała po nim laską swą, dotąd nieodczytane głoski. Ztąd udała się przez góry aż do Starego-Sądcza, stopy jéj w lasach teraz jeszcze widoczne być mają.

Za miasteczkiem zaraz wznoszą się wysokie góry, odnogi Krępaku, Pieninami zwane. Te piękne góry tworzą

*) Pochodzi od węgierskiego *juh, owca.*

labirynt; są w nich to głębokie przepaści, i doliny, to równiny, na których się białe opoki w kształcie twierdz zakamieniałych, jarzębiną i kaliną porosłe wznoszą. Szczyt jeden najwyższy, noszący imię Sokołowéj-Góry, z powodu, iż się na jego wierzchołku sokoły gniezdziły, ma po jednym boku las gęsty, po drugim zaś nadzwyczajnie wysoką prostopadłą skałę, kończącą się na dnie rzéki. Koło drugiéj góry jest przy pięknéj łące wykuta obszérna jaskinia wysoka, z wchodem i oknami, może się w niéj pomieścić do sto sztuk bydła; w głębi jéj płynie źródło chłodnéj przeczystéj wody. Dawniéj służyła jaskinia ta za przytułek rozbójnikom, dziś zaś pastérzom i bydłu w czasie ulewy deszczowéj.

Jedna wązintka ścieżka tylko prowadzi do gruzów zamku Ś. Kunegundy; leżą one na stroméj skale, po pod którą zielony, ściśniony Dunajec płynie. Dziś pozostały szczątki murów, wieży jednéj, w któréj okno z kratą żelazną, i ślady bramy nad przepaścią. Z resztą psują od dnia do dnia coraz bardziéj mury sami Górale, wydobywając ztąd ogromne szyny żelazne, którémi kamienie spajane były. Na miejscu, gdzie stał ogród, dziko rosną róże, rozmaryn, wonne zioła i inne kwiaty. Niedostępność grodu tego, dała zapewnie powód do owéj legendy, jakoby był zbudowany od aniołów. W czasie drugiego napadu Tatarów na Polskę za Leszka Czarnego przeniosła się tu Kunegunda, wraz z swémi siostrami i siedemdziesiąt pannami z klasztoru staro-sądeckiego. Już doszli Tatarzy po pod zamek, lecz — podług powieści Długosza w życiu téj Świętéj — upadła mgła tak gęsta, iż go nieprzyjaciele widzieć nie mogli; tym sposobem zamek cudownie został obronionym. Jednak zdaje się do prawdy podobniejszą rzeczą być to, iż zamek ten od przyrody obwarowany, wszelkim najazdom hardo się mógł opiérać. Tatarzy nawet wprzód nim tu doszli, porażeni zostali w wiosce Kościelisko od Gierwazego i Protazego hetmanów; jakto widać z obrazu jednego w klasztorze staro-sądeckim, gdzie wymalowana jest ta bitwa z Tatarami, a pod nią następujący dwuwiersz polski:

»Na prośbę Kunegundy dał Bóg na pogany,
Gerwazego z Protazem Polszcze za hetmany.«

Wracając z gruzów zamkowych do miasteczka wyszedłem na najwyższą polanę (równina na wierzchołku góry) gór Pienińskich. Widok najcudniejszy sowicie moje trudy nagrodził. Ku południowi stoi na równi wysoka okrągła wązka skała, na któréj cyplu kilka koziodrzewek stérczało; daléj część Karpat, mająca u spodu rozkoszne łąki, wyższa ich połowa pokryta była nagiemi opokami, lśniącym się lodem i śniegiem, który teraz przyjął czerwoną barwę dogorywających już promieni słonecznych. Przerwa jedna dość obszérna w górach Karpackich ukazywała szeroką równinę, któréj końca oko zmierzyć nie mogło. Rzéki, ciągnące się krętym biegiem po téj równinie, przy zachodzącém słońcu zdawały się być złotémi wstęgami, nad którémi miejscowo umieszczone były węgierskie miasteczka i zamki. Widok ku północy, na naszą Galicyję, był najrozmaitszy. Po wielkich górach i dolinach, licznémi potokami przerzniętych, już mrok wieczorny usiadał. Zewsząd wioski w niżinach, wioski z bujnémi sadami i polami; zewsząd miasteczka białe na tym żywym krajobrazie rozeznać było można; a gruzy grodów, gdzie niegdzie na wzgórzach stérczące, sępiły powaby téj okolicy. ŻEGOTA PAULI.

Zmarły nie dawno w Syryi jenerał polski hr. Pac zapisał znanemu rytownikowi Antoniemu Oleszczyńskiemu 50,000 frank., ażeby daléj zajmował się wyszukiwaniem i upowszechnieniem starożytności i obrazów polskich, których tyle już dotąd w »Rozmaitościach« swoich umieścił.

Z Wiednia donoszą: P. Tepplar rytuje nagrobek kardynała księcia Alex. Mazowieckiego, znajdujący się w kościele Śgo Szczepana. Jestto starożytna pamiątka, lubo bardzo lichéj sztuki rzeźbiarskiéj. Hrabia Eduard Raczyński obstalował tu wiele drzeworycin; może do leszczyńskiego: Przyjaciela ludu?

Konny posąg Karola II. króla angielskiego, bardzo śmieszny przedstawia widok, a początek jego również jest dziwaczny, jak mało znany. Posąg ten początkowie przeznaczony był dla króla polskiego Jana Sobieskiego, przez przypadek tylko zatrzymał się w rękach rzeźbiarza. W tymże samym czasie miasto Londyn chciało hołd swój złożyć Karolowi II.; byłoto właśnie po restauracyi. Gdy zaś posąg Sobieskiego już był gotowy, a przerobienie tegoż nie wiele potrzebowało pracy, przeto zgodzono się, aby króla polskiego zrobić angielskim, Turek zaś, leżący pod nogami rumaka, musiał wyobrażać Kromwella. Dziwną jest rzeczą, że nikt niezrobił zarzutu przeciw turbanowi, który głowę Kromwella okrywa.

Nowe widowisko, na którém Beduinowie występują w teatrze *Porte St. Martin* w Paryżu, ma nazwę: »Beduinowie w podróży,« jestto afrykańska odyssea w trzech pieśniach, przez H. Anatole. Sztuka ta, zastosowana do okoliczności czasowych, wesoła, zajmująca, tyle na widzach sprawia wrażenia, iż z cierpliwością czekają téj sceny, w któréj występywać zwykli Beduini. Cały Paryż zbiega się, aby widzieć sławną piramidę z ludzi: trzéj Beduini stają jeden drugiemu na głowie, najwyżéj stojący trzyma dwoje dzieci; cała ta żyjąca grupa porusza się, biega, skacze, podług miary muzycznéj. Widok ten, ile podziwem, tyle trwogą przejmuje.

Gdy d. 24. listopada wyszedł nowy romans d'Arlincourta, pod tytułem: »Podwójna władza,« ścisk przy księgarniach był tak wielki, iż się przypadku obawiono. Rozpychano się kułakami, aby dobić się do książki, która z rąk do rąk biegła. Jak słychać w trzech dniach piérwsze wydanie rozchwycone zostało.

Kapitan Ross d. 27. listopada znajdował się na posiedzeniu paryzkiego towarzystwa, gdzie i baron Humboldt był obecny. Na tém posiedzeniu zapowiedziano dwie podróże w celu odkryć nowych; jedną przygotowuje rząd angielski do biegunów, drugą ogłasza pewien Niemiec w awanturniczym planie, zamierzając przejść całą Afrykę, od północnego wybrzeża do przylądku Dobréj Nadziei.

Marszałek Lefevre, książę gdański, miał w zamku swoim w Combout (w depart. Sekwany i Marny) wielką, pełną tajemnic szafę, do któréj sama tylko pani Lefevre klucz miała. Pewnego dnia, jedna z jéj przyjaciółek tak mocno ją pytaniami przycisnęła, że księżna musiała na otworzenie szafy przyzwolić. W niéj znajdowały się rozmaite ubiory, które różnemi czasami nosił marszałek i jego żona, zacząwszy od munduru prostego żołniérza do książęcego płaszcza, od płóciennego gorsecika, do złotem haftowanéj aksamitnéj sukni. »Mąż mój, i ja — mówiła z uśmiéchem księżna — starannie chowamy te pamiątki, nie zła jest rzeczą oglądać je czasami, aby tym sposobem przypomnieć sobie, czém człowiek dawniéj bywał.«

Callot, sławny rysownik, rodem był z Nancy; opowiadają o nim następującą anegdotę: Kiedy Ludwik XIII. zdobył Nancy przywołał Callota, i rozkazał mu rysować plan oblężenia tego miasta. Nato Callot odpowiedział, iż mając zaszczyt być Lotaryńczykiem, wolałby, aby mu rękę odcięto, jak żeby przeciw swojéj ojczyznie miał działać. Kilku z dworzan przekładało królowi, iż taka zuchwałość zasługuje na karę, lecz król odpowiedział na to: »Książę Lotaryński bardzo jest szczęśliwym, gdy tak wiernych poddanych miéć może.«

Sprostowanie. W przeszł. Rozm. na str. 409, przedz. 2giéj, wierszu 22m, zamiast *w ojczystym polu*, powinno być: w ojczystym ulu.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.